

KRAKOWIANKI

Dwa tomy „zadumienia”, ale i radości. Refleksje

Two volumes of „contemplation”, but also of joy. Reflections

JACEK CHROBACZYŃSKI

ORCID ID: <https://orcid.org/0000-0001-7896-2494>

Nie sposób się oderwać od lektury tych dwu tomów. Przemyślanych koncepcyjnie, powiązanych wspólnym mianownikiem, dobrze prezentujących się źródłowo i bibliograficznie:

T. 1: *Krakowianki. Twarze polskiej herstorii* (Kraków – wznowienie 2025);

T. 2: *Krakowianki. Kontynuacja. Herstoryczne portrety niezwykłych Polek* (Kraków 2025).

Herstoria to ostatnio niemal nowa, ważna „gałąź” w badaniu społecznej historii (kobiety). W zróżnicowanych aspektach – obecności, sprawczości, ale i trajektorii biograficznych. To już niemały dorobek, nawet więcej – specjalizacja w dyscyplinie historia.

Krakowianki, pióra Alicji Ziolo, dobrze wpisują się nie tylko w ten nurt badawczy, ale dowodzą, że biografia ujęta raczej nietuzinkowo, choć w oparciu o solidne badania źródłowe (i nie tylko), to również ciekawy format lekturowy. Dobre pióro autorki i ta niekonwencjonalność ujęcia – np. brak chronologii w poszczególnych prezentacjach, co w badaniu procesu historycznego wydaje się zasadą, tutaj nie przeszkadza w lekturze. Autorskie eseje otwierają także nowe, interesujące pola poznawcze. Inspirują też sporo pytań. Także niepewności. Szkice więc to biograficzne, ale jeszcze nie biografie. Tym bardziej trajektorie biograficzne, jak to definiujemy w *social history*. Moim zdaniem to solidne opowieści o osobach – kobietach niezwykłych w przekroju czasu. I w szczególności o miejscu – Krakowie.

I ten drugi aspekt *Krakowianek* chciałbym wyraziściej zaakcentować. Te dwa tomy bowiem, to również, trochę przy okazji, zrozumiała opowieść o Krakowie. Naszym „krakowskim Krakowie”, a w nim *Krakowianki*. Choć nie tylko, całkiem sporo tu również innych postaci – ważnych, znamienitych, choć niekiedy raczej „z cienia”.

Być może dlatego lektura to wciągająca, zastanawiająca. Lektura z wieloma pytaniami (nadal), czasem niepewnością merytoryczną. Sporych rozmiarów trud badawczy, autorskie spojrzenie. Oferta interesująca, ale i otwarcie, jak sądzę, drogi w stronę kolejnych tomów. Kolejnych opowieści. *Krakowianki* z pewnością na to zasługują. Podobnie i Kraków i... Krakowianie też.

Ale, tu – świadomy autorski wybór – herstorii, to najważniejszy z atutów tych dwu tomów.

*

Tom 1 *Krakowianek* (s. 479) – ciekawie skomponowany, bez, *de facto*, przestrzegania chronologii. Ale za to dobrze pogrupowany rzeczowo:

- Pisarki,
- Pionierki,
- Artystki,
- Opiekunki,
- Przedsiębiorczynie.

Łącznie 13 opowieści biograficznych (postaci nieco więcej) i dopełnienia po każdej części: Śladami...¹ – pisarek, pionierki itd. Ciekawe zakończenie: *Mie-dzianna* + podziękowania, przypisy (liczne, solidna podstawa źródłowa i bibliograficzna), bibliografia i indeks nazwisk.

Całość solidnie przemyślana.

Tom 2 *Krakowianek* (s. 493) – nie mniej ciekawie skomponowany. Również bez przestrzegania chronologii układu na rzecz rzeczowego ujęcia. Tym razem nieco innego, choć równie interesującego:

- Władczynie,
- Muzyczki (ciekawy język),
- Artystki,
- Siłaczki.

Łącznie, tym razem 16 opowieści biograficznych + powtórzenie z T. 1: Śladami... Dopełnieniem *Kurtyna* i, podobnie jak wcześniej: podziękowania, przypisy końcowe (pełniące też funkcję informacji źródłowo-bibliograficznej), indeks osób (ważny).

Konstrukt obu tomów zdecydowanie zachęca do lektury. Dodatkowo, atutem, format esejów (stąd i ta recenzja/omówienie też bardziej w formie eseju). Całość zachęca do pytań, refleksji. Namysłu. Ale i otwiera nowe pola badawcze. A może i kolejne tomy *Krakowianek*?

*

¹ Kursywa bez „” – cytaty, wszystkie z t. 1, 2 (poszczególne biografie).

Najpierwszą postacią, otwierającą całość, jest *Kamyczek z Przekroju*, czyli pani od dobrego wychowania, zachowania, postawy. Dusza – obok naczelnego² – wspa-
nianego krakowskiego „Przekroju” – Janina Ipohorska. „Przekrój” to w tamtym
czasie Kraków, a Kraków to „Przekrój”. Czasu niełatwego PRL-u, a jednak. Ale,
kto pamięta, nadal czuje/czujemy ten dreszczyk, zawsze otwierając nowy numer.
Kolorowy. I czekając na stałe rubryki, w tym właśnie *Kamyczka*.

Mam, jako pilny czytelnik „Przekroju”, zawsze takie uczucie, dreszczyk. „Prze-
krój” pozostaje niezniszczalnym. Myślę, że i... nadal wielu jest potrzebny. Warto
sięgnąć po archiwalne, już źródłowe, egzemplarze „Przekroju”, by poczuć tamten
czas, niuansy ówczesnej *social history*, z obecnością cenzury w tle każdego numeru.
A szkic poświęcony *Kamyczkowi* dopełnia znamienicie całość.

Po *Kamyczku* królowa limeryku, krakowska noblistka – Wisława Szymborska.
Świetne, autorskie „rozczytanie” osobowości, doskonałości, języka. Ale i rodzin-
nych wartości. Konsekwencją bardzo interesujący esej *Pod dachem siostry*. Łącznie
z końcową refleksją już w krakowskim Parku Wisławy Szymborskiej. Krakowska
krakowskość w pełni tu ujęta. Jej istota, klimat. A także ten krakowski duch *genius
loci*. Czytelnik z pewnością dobrze to wyczuje.

W grupie *Pionierek* – pierwsze studentki UJ. Odważne, zdeterminowane, pra-
cowite i mądre: Jadwiga Sikorska, Stanisława Dowgiałło, Janina Kosmowska.
Przeszły piekło „męskiego” UJ. Zaprawionego w boju z dziewczynami/kobie-
tami – dość przypomnieć skromną Marysię Skłodowską, która w UJ „nie mogła,
bo...”. Dobrze, że Paryż otworzył podwoje. A teraz? Wielki krzyk polsko-polski:
na banknocie euro Maria Curie. A gdzie Skłodowska? Jak to czas się zmienia? Na
szczęście. Ale wymienione trzy *Pionierki* to bohaterki z pewnością. Dobijające się
i równych praw i uznania „normalności” i prawa, nie tylko do studiowania. Dzielne.
A męski świat? Może coś do przemyślenia?

Na tym tle Nawojka – mit, nie mit, ale ważna rysa w historii Krakowa. Także
krakowskiej nauki. Dopełniająca, nawet jeżeli to tylko mit, to warto poczytać. Taki
pierwowzór dziewczyny, która chciała się tylko uczyć, jak jej męscy rówieśnicy.
Tylko uczyć się – to tak skomplikowane „męski” świecie?

Pionierką też, po trosze była „chłopczyca”, by nie powiedzieć trochę wręcz
„chuliganika” – Kazimiera Bujwidowa. Otwierająca w Krakowie wiele nowych,
nieznanych kobietom pól. Wiele ról społecznych, pomimo dramatycznych prze-
szkód, wręcz prześladowań i wykluczenia. Odważna i ważna w tym krakowsko-
-krakowskim, kobiecym panteonie. Świetny drogowskaz również i dzisiaj. Spory
dorobek, może być wzornikiem.

Artystki. Kraków bez artystów? To niemożliwe. Ale już *artystki*...? Całkiem
sporo znaków zapytania. Ale *artystki* przełamujące tę niemoc zasługującą na refleksję,

² Marian Eile.

wręcz tytułowe *zadumienie*. Helena Husarska – *artystka, alchemiczka z Przegorzał*, ilu krakowian słyszało? Wszyscy chemicy kojarzą? Wydobywanie *alchemiczki*, prawdziwej *artystki* z niebytu to w istocie ważny krok autorskiej pasji – odkrywania, refleksji. Determinacji. Czytelnik powinien to docenić. Nie tylko chemik.

Bez wątpienia *artystką* była również *Neonówka*, Anna Pawlak. Pani od komponowania, wymyślania PRL-owskich kolorowych, reklamowych neonów. Pokolenia się na nich uczyły w Krakowie estetyki, koloru. Artyzmu wręcz. Ich autorka to znakomitość w tym rzemiośle/artyzmie. Niestety, dziś tylko z trudem coś tam z dorobku odnajdujemy. Ale wielu pamięta neonowy znak firmowy firmy Erdal. Tego zielonego księcia/żabkę (cudna zieleń) w złotej koronie. A śp. bar *Smok* tuż przy dworcu Kraków Główny. Czerwone światło *smoka* nad barem przyciągało nie tylko podróżnych, ale i wielu krakowian. Także wielu ówczesnych studentów. Kawał historii miasta *via* krakowskie neony. Dobrze, że zachowała się, i to w sporej ilości, ikonografia neonów, w tym nowohucka. Szkoda że czarno-biała. A tu i ówdzie w Krakowie, też w Nowej Hucie, można jeszcze, pieczołowicie konserwowane, niektóre dzieła Anny Pawlak dostrzec. O czymś świadczą, dokumentują. Naprawdę kawał artystycznej historii.

Artystką bez wątpienia, krakowską, ale i znacznie szerzej, pozostaje też Zofia Stryjeńska. Z pseudonimem *Księżniczka*. Była prawdziwą artystką, cudowną kobietą. Słusznie stwierdza, wprowadzając do lektury autorka:

Pierwsza Polka, której malarstwo osiągnęło tak ogromny komercyjny sukces. Jej twórczość, niemal dosłownie trafiła pod strzechy – często reprodukowana, a dzięki temu dostępna dla przeciętnego odbiorcy [...].

Nic dodać. Po lekturze tej biograficznej opowieści wiele, z pewnością, zrozumiemy. Wiele z tajemniczego świata sztuki nam się otworzy. Pojawi się refleksja. *Zaduma – pierwsza Polka*.

Kolejna część tomu 1 *Krakowianek* to *Opiekunki* – czytałem z zadziwieniem te biografie. A przede wszystkim ich kontekst. Bo przecież raczej znamy *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego. Lektura obowiązkowa, nie tylko szkolna, ale *de facto* każdego, dobrze wykształconego obywatela. Często cytujemy, przy różnych okazjach: *A to Polska właśnie czy miałeś chamie...* To wręcz, jak modlitwa, jak miciekiewiczowskie: *Litwo, ojczyzno moja*. Pamiętamy Rachelę, ale autorka spojrziała na *Wesele* zdecydowanie inaczej. Tajemniczo: *Siostry z Wesela*. To strofa z jednej strony rodzinna, dość typowe w trajektorii biograficznej, ale Anna Rydlówna i Józefa Singer – obecne w *Weselu* i z *Wesela*, trywializując, to znacznie więcej niż tylko bohaterki sztuki wybitnej. Ale i obywatelki, *siostry* w znaczeniu społecznym. Znamienite drogi życiowe, niełatwe, miejscami wręcz dramatyczne, ale *siostry* – ważna część krakowskiej *social history*.

I wreszcie *Przedsiębiorczynie* – ostatni akapit tomu 1 *Krakowianek*. Amalia Krieger, *kruche i cenne* – to krakowski dokument zaklęty w kruchej fotografii (tamtego czasu). Kruchej, bo szkło i niebezpiecznej, bo trujące odczynniki. Ale dzieło znamienitej artystki fotografii, dziś – po renowacjach (Muzeum Krakowa) – to spojrzenie na upływający czas, na jego zmienność, dynamikę zmian. Ale i artyzm, świetna *social history*. To także źródłowa dokumentacja Krakowa tamtego czasu i dynamiki jego zmian/zmiennych.

Kończy tę część i całość tomu 1 Helena Rubinstein. Ta, ta – od kosmetyków – światowej sławy Helena (Chaja) rodem z krakowskiego Podgórza. A w istocie z całego niemal świata. Wielka gwiazda, autorsko przeanalizowana (współpraca świetnych badaczek) nieco inaczej niż masa opowieści o Chai. Jej dorobku, ale i konfabulacjach. Wielka Helena i świat, nie tylko kosmetyków, ale i estetyki, artyzmu. Jak i dyscypliny – przedsiębiorczości. Wzornik.

Ta część *Krakowianek*, jak nietrudno zauważyć, bardziej przeglądowa w recenzyckim spojrzeniu. Trochę przypominająca. To bowiem drugie wydanie tego tomu *Krakowianek*, zatem już przynajmniej części zainteresowanych opowieści znane. Stąd ta skrócona, przeglądowa forma.

*

Część 1 *Krakowianek* pozostaje jednak ważna. Stanowi bowiem rodzaj klamry wprowadzającej do tomu 2 (nowość). Autorsko wspomaga, otwiera wspomniane pola. Inspiruje i... zachęca do lektury części 2. Świetna też dokumentacja, język narracji. Historia postrzegana *via herstory*. W tym historia Krakowa.

Zapewne te czynniki, ale i pasja autorki, rozstrzygnęły o ciągu dalszym *Krakowianek*. Jak sygnalizuje autorka już w karcie tytułowej – tom 2 to kontynuacja. Ale już nie *twarze*, jak w cz. 1, ale *portrety*. Podobny układ strukturalny. Podobne założenia, język eseju, rzetelnie zgromadzona dokumentacja. Wciągająca czytelniczo narracja.

Jako pierwszą, władczynię nad władczynią, autorka, trochę z przymrużeniem oka, przedstawia Wandę (krakowską), co to – wiadomo – *nie chciała Niemca*. Dodając jednocześnie: *to jedna z bardziej szkodliwych opowieści przekazywanych młodemu pokoleniu...* [...]. Dlaczegoż to? Wszak i Kadłubek o Wandzie, w tle Gall Anonim, także Długosz – legenda, legenda. Dzielna, samobójstwo w wiślanej toni. To racjonalne? Samobójstwo? Bohaterka z grodu Kraka? Krakowianka? Nie wnikając już dalej „w szczegóły” – legenda Wandy, jak trwała, tak trwa, choć różnie odbierana. Ale, jako *władczyni*, choćby i mitologiczna, „oczywista oczywistość” kochana przez poddanych. Wanda zatem, *co nie chciała Niemca*, rozpoczyna autorski opis *Władczyni-Krakowianek*.

Urokliwa, miła, ważna. Jak to w dobrej legendzie. Najważniejsze: świetna ci to *Krakowianka*. I autorka – słusznie – ten poczet rozpoczyna od naszej, krakowsko-krakowskiej, legendarnej *Krakowianki*. Trochę w polsko-polską, patriotyczną

legendę, starali się, w czasie zaborów, ingerować Niemcy. Ale Wanda utrzymała swój powab i wielkość. Swą polskość, krakowskość. Dowodnie widać, co może solidna, przemyślana legenda. Może wiele. W istocie kształtuje każdą, nie tylko Krakowiankę, ale i – tak sędzę – Krakowianina. I nie zapominajmy tu o *holophagusie* (zwyczajnie: *całożercy*, jakby ktoś nie rozumiał), późniejszym Smoku Wawelskim. Bez tej „osobistości” nie ma opowieści o Kraku, Wandzie, *królowej-kapłance*, co to *nie chciała Niemca*. Nie ma opowieści o Smoku Wawelskim i małym Szewczyku Dratewce. Tako ci w Krakowie przed wiekami się pono działo. Przetrwało i... trwa. Na pożytek każdej *Krakowianki* i każdego Krakowianina. Choć, zapewne, nie tylko.

XIII-wieczny Kraków, z Sandomierzem i Zawichostem oraz Skałą w tle, to dzieje drugiej z *Krakowianek* – *Władczyń*. Dzielných i obrotných, po przejściach (Tatarzy, rozbięcie dzielnicowe i nie tylko). Wybitna *Kobieta z marmuru*, jak ją określa autorka – Salomea Piastówna. Nie wnikając szerzej w genealogię – akcentacja niezbędna: córka ruskiej księżniczki Grzymisławy i Leszka Białego (syna Kazimierza Sprawiedliwego). Słabością – dziewczynka/dziewczyńskość, ale radości w rodzinie było co niemiara. Pamiętamy, z podręcznika, czas i dramat ojca Salomei w Gąsawie. Z czasem Salomea to żona Kolomana, władcy Halicza. Królowa. Śmierć Kolomana w bitwie z Tatarami radykalnie zmieniła życie Salomei. W następstwie, raczej typowość czasu, miejsca, kobiecości po przejściach – klasztor. Ale w sposób szczególny, świadomie wybrany, świadoma decyzja:

W Zielone Świątki 1245 roku w Sandomierzu, w obecności biskupa krakowskiego Jana Prandoty, Salomea przyjęła z rąk ówczesnego prowincjała Rajmunda habit franciszkański i została pierwszą w historii Polski klaryską³.

Od tego momentu, tylko już dzieje franciszkanki-klaryski, *kobiety z marmuru*. Piękna biograficzna trajektoria z tą najistotniejszą cezurą wewnętrzną – klaryska. Solidna historia mikro, ale mocno „obecna” w tej makro. Czasu i miejsca. Nie-małych dokonań. Tak religijnych, jak społecznych. Krakowskich również – 1257, Bolesław Wstydlivy – brat przecież Salomei – i lokacja Krakowa na prawie niemieckim – świetna perspektywa rozwoju. Ale i pobliska Skała (prawo średzkie) – umiastowienie 1267. I to również *kobieta z marmuru*, swoją drogą, jakże ciekawe, autorskie, sformułowanie. Oczywiście, pamiętamy o *Człowieku z marmuru*, ale kobieta? Klaryska? Oto, co może dobrze przemyślana i opowiedziana herstoria.

Druga z *Władczyń*, *Krakowianka*, chyba najbardziej znana ze znanych, królowa (król?) i fundatorka odnowy podupadłej Akademii Krakowskiej, dzieła Kazimierza

³ Klaryski, wywodzą się od wieczystej Adoracji (początkowo to część zakonu franciszkanek Najświętszego Sakramentu). To zakon z klauzurą – powstał w 1854 roku we Francji. Łączy ubóstwo (ideał klariański) z wieczystą adoracją Najświętszego Sakramentu – duch dziękczynienia i ekspiacji. Przynależne do II Zakonu franciszkańskiego. Stąd Salomea: franciszkanka-klaryska, *pierwsza polska klaryska*.

Wielkiego. Zatem, postać podręcznikowa – Jadwiga Andegaweńska. *Rozważna, nie romantyczna*. Niemal każdy, chodzący do szkoły o żonie Jagiełły się uczył. Królowa, ale w tym kontekście akcentuję Akademię Krakowską, ową (dokument) *nauk przemożnych perłę*. To dzisiejszy Uniwersytet Jagielloński, największy, obok Warszawskiego, uniwersytet w Polsce. Atut historyczny, jak to podkreślają autorzy podręczników: drugi po Uniwersytecie Karola w Pradze, uniwersytet w ówczesnej Europie Środkowej. Rzeczywista *nauk przemożnych perła*, choć, nie zawsze w rozkwicie. Ale, to ważne, przez kilka setek lat była Akademia/Uniwersytet „sprawą męską”. Pierwsze studentki, zdeterminowane odważne kobiety w UJ, to dopiero II połowa XIX wieku. Opisane herstorie w tomie 1.

Wstępną jest ważny, dowodzi bowiem szczególnego czasu rozwoju i potrzeb ówczesnego, lokowanego w 1257 roku, Krakowa – stołecznego. I odwagi, otwartości na „nowe” fundatorki. Z następstwami. Wreszcie, po niemal sześciuset latach (dywagacji? niepewności? oporu?), kanonizowanej. Jak widać, te setki lat „przykleiły się” do Jadwigi. W tym setki lat, lepszych, gorszych, ale zawsze trwania tego niezwykłego prezentu od królowej. Tej *nauk przemożnych perły*. Matki wszystkich polskich uniwersytetów. Dlatego *Rozważna, nie romantyczna* nie mogła być pominęta wśród wybitnych *Krakowianek*. I jeszcze dylemat-zadanie autorki: *Jadwiga – król Polski, czy królowa Polski* (?), wszak królowa to żona króla, a Jadwiga to nie tylko żona króla, ale i *król Polski*. Ot, *Krakowianka jedna* i ta krakowskość? A może nie? Spór trwa. I ma się dobrze. A św. Jadwiga spogląda skądś tam i z pewnością pilnuje – Krakowa, Krakowian i Uniwersytetu. Z pewnością, nadal *rozważna, nie romantyczna*.

Akapit drugi to *Krakowianki – Muzyczki* (ciekawny język: *muzyczki*). Plejadę rozpoczyna Marcelina Czartoryska, wytrawna *graczka* (i ta *graczka* – też, autorski-cud język). A w tle nie tylko majątek, ale przede wszystkim postawa społeczności – sfera kultury: Konserwatorium Muzyczne (autorka *Krakowianek*: *choć milczy na ten temat strona internetowa* [krakowskiej] *Akademii Muzycznej*), szpital dziecięcy, Rabka – kolonie lecznicze dla dzieci. Do tego *największa ekspertka w zakresie interpretacji utworów Fryderyka Chopina*. W tle również, raczej skromny i mało odwiedzany, grobowiec na cmentarzu Rakowickim (*tuż obok grobowca prezydenta Mikołaja Żyblikiewicza*). Niezwykła, bez wątpienia, trajektoria biograficzna. A bohaterka prawie nieznana (pomijam specjalistów).

„Przywoływanie” czytelnikowi takich postaci *Krakowianek*, to – obok innych – również wielka zasługa autorki. To opowieść o dwu w istocie światach. Czasu tamtego w Krakowie, i nie tylko, w tym pozycji kobiety, szczególnie w rodzinie. Ale i akapit na te „szparki”, przez które/niektóre z nich przenikały społecznie. Aktywizowały się. Pozostawiając trwałe ślady. Świetnie ilustruje to zjawisko Michał Hankus, kurator pierwszej przekrojowej wystawy o herstorii Krakowa w Muzeum Krakowa (*Silaczki*):

Podstawową rolę kobiety w rodzinie mieszczańskiej i szlacheckiej było godne wypełnianie roli posłusznej żony, troskliwej matki, zaradnej gospodyni, ostatecznie wdowy, mogącej swoim doświadczeniem wspierać młodsze od siebie członkinie rodziny i pomagać w odpowiednim wychowaniu dzieci.

Niektórym, tu i ówdzie, ten przekaz pozostał aż do dziś. Nie zauważają, że nie wszystkie kobiety tamtego czasu, w tym i *Krakowianki*, godziły się z takim „zapieczętowaniem” ich w rodzinie, a przede wszystkim w środowisku. Te najodważniejsze, zdeterminowane, a przy tym, niezaniebujące tego *co w domu, przy mężu i dzieciach*, robiły swoje. Cicho, bez wielkiego szumu – pozostawiając trwałe ślady. Nie tylko determinacji, ale przede wszystkim odpowiedzialności.

Księżna Marcelina Czartoryska z pewnością miała łatwiej, jak wiele podobnych *Krakowianek*, ale ten pozostawiony ślad wpisuje się w zjawiska i konteksty szersze. Z których najważniejszym – przebijanie męskiego muru dominanty. W tle jeszcze i powstanie listopadowe i Wiosna Ludów (przeżywana, a nawet wspierana), a przede wszystkim powstanie styczniowe i sporo europejskich tąpnięć. Także trochę magiczne małżeństwo. Autorka celnie – *mniej w niej Radziwiłłów, a już więcej Czartoryskich*. Paryż (umierający Chopin), sporo „nowego”. A od 1869 – Kraków (Wola Justowska, Willa Decjusza, pałac Lubomirskich i Sławkowska 5, a tuż obok Jan Matejko). Odważnego świata „w ruchu”. Także osobistego. Dlatego ta, i podobne historie, w tym i *Krakowianek*, tak ważne. Edukujące, otwierające sporo – tu księżna, tam ktoś z ludu, roztropna mieszcza i nie mniej uzdolniona Żydówka, itd. Zdecydowanie *odważne pionierki*. I trwałe ślady, ale czy trwała pamięć? Także ta „podręcznikowa”?

Po księżnej pani kolejna znamienitość krakowska – *Krakowianka: Biały anioł w szopce i w piwnicy*, Anna Szałapak. Świetnie pamiętam Panią Annę zarówno z Piwnicy, a przede wszystkim ówczesnego Muzeum Historycznego Krakowa (obecnie Muzeum Krakowa), z którym od lat współpracuję. Stąd to wspomnienie bardzo dla mnie szczególne. Emocjonalne.

Chyba najbardziej znamienitą datą dla Anny Szałapak w kalendarzu był od lat pierwszy czwartek grudnia. Owszem, pamiętała wiele innych, w tym osobistych dat, ale ten pierwszy czwartek grudniowy, to – od 1937 roku – tradycyjna data corocznej prezentacji krakowskich szopek. I krakowskich szopkarzy. Przerwana wojną/okupacją, wznowiona.

Pani Anna była ich niebywałą znawczynią, badaczką akademicką. Z szopką, każdą, która „przechodziła” przez jej ręce, zaprzyjaźniała się z pełną emocją. Bo szopka krakowska to prawdziwie prawdziwy *cud mniemany*, jak to – też w kabarecie – opisywał prof. mniemanologii stosowanej Jan Tadeusz Stanisławski. *Cud mniemany* Krakowa, rzemiosła, sztuki. Znawstwa wreszcie. Bez względu na pogodę u stóp Adasia (pomnik Adama Mickiewicza na krakowskim Rynku) w pierwszy czwartek grudnia odbywa się prezentacja szopek. Prawdziwe święto

szopki, a przede wszystkim jej twórców – fach przechodzi rodzinnie, choć nie tylko. Nowi amatorzy też się starają. Jakże by to było? W Krakowie bez szopki? Niemożliwe. Nie zaginie ta tradycja!

A w tle pozostawały jeszcze u Pani Anny (wtedy Ani) UJ-„Słowianki”, potem etnografia i j. angielski. Sporo „światowych” wyjazdów. Tak kształtowała się (dom rodziców inżynierów) przyszła gwiazda Piwnicy i Muzeum Krakowa. Pomiedzy, wspomniane szopki. Sekwencja niezwykła, ale ważna. I jeszcze krakowska krakowskość, solidny dodatek/atut tej od urodzenia *Krakowianki*. Wielu kolejnych świąt szopki krakowskiej nie było jej dane doczekać. Anna Szałapak zmarła dużo przedwcześnie (14 października 2017), spoczęła na cmentarzu Rakowickim, w rodzinnym grobowcu.

A teraz trochę innego krakowskiego klimatu. Któż nie nucił: *prześliczna wio, wiołq, wiolonczelistka...*? Nie tylko w Krakowie. I nie tylko ze „Skaldami”. Ale tu akurat chodzi o Kraków i kolejną *Krakowiankę* z panteonu autorskiego autorki: Annę Wójtowicz-Pawluśkiewicz. Jedno z autorskich zdań mówi wszystko:

Jej charyzma i urok osobisty sprawiały, że choć miała pozostawać na drugim planie, stała się ikoną stylu i rozpoczęła w Polsce modę na wiolonczelę.

I ta nieśmiertelna fraza poezji Marka Grechuty (zespół „Anawa” – w tle również skrzypek Zbysław Wodecki):

*Jej oczy lśnią, jej usta drżą.
Gdy dłonią swą struny przyciska [...]*

Jeszcze wyjaśnijmy: w kabarecie „Anawa” występowali trzej, muzikalni bracia Pawluśkiewiczowie: Jan Kanty, Michał i Ziemowit – rodem z Nowego Targu (studenci). Anna – *wiolonczelistka* związała się z Michałem (*parą pozostali do końca życia*). Rodzina i dzieci, dom – to *prześliczną* pochłonęło wtedy najbardziej, przestała koncertować. Ze szkodą chyba dla wszystkich. Rodzina, dzieci, dom stały się ważniejsze od wiolonczeli, zamkniętej już w dużym futerale.

Zmarli daleko za wcześniej – Michał w 2019, a Anna, przecudnej urody, *przecudna wio, wiolonczelistka* w 2021. Pochowani na krakowskim cmentarzu Batowickim, gdzie napis na grobie łączy Ich i wszystko co z Nimi: *Amor Vincit Omnia* – Miłość zwycięża wszystko. Kraków, Krakowianie, i nie tylko, pamiętają o swojej *Krakowiance, wiolonczelistce prześlicznej*. Została wiolonczela, nagrania, filmy, cudowna poezja śpiewana – źródła znamienitego czasu. Krakowa czasu „Anawa”.

Kolejna część tego tomu – *Artystki*. Jako pierwsza, trajektoria biograficzna i herstoria Marii Pinińskiej-Bereś: *Wrózenie z rózu* – piękny autorski język.

To ta, z urodzenia i dzieciństwa Poznanianka (trochę Ślązaczka/Katowiczanka), jednak przede wszystkim *Krakovianka* (Akademia Sztuk Pięknych), o której, nie tylko w Krakowie, mawiano już w latach osiemdziesiątych, że *wyprzedza światową sztukę feministyczną*. W rzeczy samej, gdy wnikliwie przyjrzeć się dorobkowi – teza ta w pełni nabiera znaczenia. Jest znamioną cezurą, nie tylko w artystycznym dorobku Marii Pinińskiej-Bereś, ale i w dorobku Sztuki. Tak właśnie akcentowanej (dużą literą). Symbolem – kolor różowy, źródło mocy, wyraz buntu. Zepchnięta na margines przez „znawców” sztuki, aktualnie, coraz wyraziściej – doceniana, uznawana. Ma także następczynie.

Przy jakieś okazji, mając sposobność, zatrzymajmy się na chwilę przy oryginalnej rzeźbie artystki z 1989 roku (!) – *Plonąca żyrafa*. A także spójrzmy na rzeźbę wcześniejszą – *Różowe narodziny* (1957). A także *Sztandar autorski* czy *Modlitwa o deszcz* (1977), *Transparent*. Także inne. I choćby, kontrowersyjna, bo odbiegająca od tego formatu drewniana figura *Maryjki z Dzieciątkiem* (*Matka Boża Fatimska*) w jednym z tarnowskich kościołów. Rzeźba „chwilowa”, szybko [bowiem] *wymieniona na inną*. Albowiem kontrowersje *miała budzić jej surowość, a także... kształt jej stóp*. Szczególnie jednak *Żyrafa*, upieram się, była największym szokiem. Choć, cena za *Maryjkę* z tarnowskiego kościoła, też nie mała. I wydaje mi się, że ten szok pozostaje, tu i ówdzie, nadal.

Nowatorstwo artystki nie podlega tu monologowi, wymaga bowiem, jeżeli już, to dyskursu. Podobnie, jak i nowatorstwo w kompozycji i ujęciu *Maryjki*. W tle przecież także przesławny, a i kontrowersyjny często, Witold Bereś, mąż i artysta. Wiązałbym sprawę, doceniając indywidualność – Beresiowie, krakowski znak szczególnie w sztuce. *A de facto* w Sztuce. Ale i Piwnica pod Baranami. To ważne komponenty, nie tylko artystyczne w Krakowie i krakowskości. Szczególne i oryginalne. „Przyjezdne”, tym samym nie za bardzo tolerowane przez prawdziwych „Krakusów-Krakauerów”. Często wprawdzie i *Krakauerzy* wywodzili się z okolicznych wsi, tzw. krakowskiego obwarzanka, ale z czasem „w Krakowie” – nobiletowało. I oznaczało – rodzimi. Krakauerzy. Bywa tak do dzisiaj. „Przyjezdni”, z zasady, w Krakowie mieli (mają, niekiedy) gorzej. Był taki czas, a niekiedy i bywa, społecznie, nadal w Krakowie taki czas. Krakauerów i „przyjezdnych”. Pinińscy/Beresiowie z pewnością doświadczyli tego wyróżnienia.

Maria Pinińska-Bereś, artystka wybitna i Jerzy Bereś, artysta wybitny, Beresiowie spoczęli na krakowskim cmentarzu Batowickim w *zwykłym grobie*. Co niektórym raczej się nie spodobało (*wszak* [dla Nich, tylko, niektórzy] *Aleja Zasłużonych na cmentarzu Rakowickim!*). Ważniejszy jednak, i to zdecydowanie tu pozostaje, Ich artystyczny dorobek, pamięć, nie tylko krakowska. A *zwykły grób* tylko, skromnie, czegoś ważnego dowodzi. Sztuka przede wszystkim. Dzieło. I pamięć.

A róż Marii Pinińskiej-Bereś, jak trafnie sądzi autorka, *został zahibernowany*.

Kolejne, nie mniej ważne, wybitne *Krakowianki* w dziale *Artystki*: Olga Boznańska i Tola Certowiczówna. *Niemal rówieśnice*, obie niezwykle utalentowane – malarka i rzeźbiarka. I pytanie autorki: *dlaczego świat pamięta tylko o Oldze Boznańskiej?* Zatem dylemat, nie tylko krakowsko-krakowski: *co sprawiło, że drogi tych dwóch kobiet [...] potoczyły się zupełnie inaczej?* Spróbujemy odpowiedzieć, korzystając z wnikliwości analizy autorki *Krakowianek*.

W przypadku Olgi, zasadniczym, kształtującym punktem odniesienia pozostawała rodzina – ojciec inżynier i utalentowana plastycznie matka (francuskojęzyczna). Szkoła prywatna, bo to jeszcze krakowski czas, gdy dziewczęta i studia wyższe, w tym artystyczne, to było..., pomińmy wstydliwą ciszą ten konserwatyzm w męskim uczelnianym wydaniu. Oldze trochę się udało w edukacji, głównie dzięki rodzicom (Kursy Wyższe dla Kobiet dr. Adriana Baranieckiego, w tym Jan Matejko – sztuki piękne). Później, też dzięki rodzinie, Monachium i w końcu mekka sztuki, Paryż.

Słuchaczką Kursów „Baraneum” (od Baranieckiego) była również Tola Certowiczówna. Do Krakowa zjechała z Bryckiego (dziś Ukraina), także ze wsparciem rodziny (nauczycielskiej), też odważnej na tle dojmującego wokół konserwatyizmu. Rodzina też dość majątna.

Zatem i Olga, i Tola początkowo dość podobnie. Z niemałymi atutami i talentami. Łącznikiem Kraków i początki edukacji artystycznej. Malarstwo i rzeźba – niewątpliwie z ograniczeniami czasu i ówczesnych wyzwań sztuki. A także męskiego „nie” – kobieta rzeźbiarką, a fe – glina, brud, wreszcie, nagi model!? Ale Paryż... dla obu z pewnością było to zjawiskowe. Nie tylko edukacyjnie. Konwenanse już znacznie mniej działały – np. dostępna praca z męskim modelem! W konsekwencji mijający strach przed ciałem, a to dla rzeźby, a przede wszystkim rzeźbiarki „nowe”. Ważne. A przede wszystkim, już nie dramatyczny zakaz. Zatem, po parysku, z wolna, sukcesywnie, w imię sztuki, zakazy i „męskie” normy były przewyciężane.

I, wydawało się, że sukces obu to tylko kwestia czasu i kolejnych prac. Cezurą stał się jednak, dość niespodziewany, różnie tłumaczony, powrót Toli do Krakowa. Nie do Warszawy czy Lwowa – ważniejszych, także artystycznie. Czy to cezura odpowiedzi na pytanie: Olga w Paryżu, z wolna gwiazdą o wymiarze światowym, a Tola – patriotka, ale...? Zapewne coś w tym rozstaniu stanowi znacznik szczególny, różnicujący. Codziennność, otoczenie, zasady, ale i – tym samym – karierę. Mimo wybitności obu.

Dostrzegam pozytyw tego rozstania – większość twórczości Toli (dużo wystaw, świetne recenzje) pozostała w kraju. Dorobek Olgi Boznańskiej to, dzięki Paryżowi, znacznik szerszy niż lokalizm nad Wisłą. Ale, czy ucierpiała sztuka, jej wybitny format? Obu? Nie sądzę. Choć... tak, tak – dostrzegamy to do dziś: Olga Boznańska to inny zdecydowanie dźwięk, wymiar, encyklopedia. Inny w przypadku Toli Cer-

towiczówny. Ale wielkość ta sama. Jest jeszcze jeden sygnał, ważny – te pierwsze, odważne, otwarte na świat artystki, zdeterminowane, umożliwiły kolejnym i kolejnym, początkowo studiowanie (UJ), a z czasem współobecność i równoprawność. Nie zawsze z tym, aż do dziś najlepiej, ale doceniam ten właśnie wyrazisty przymiot tych pierwszych. Wielkich i ważnych zarazem. Ich śladem poszły kolejne, w tym i *Krakowianki*.

Ich ścieżki różnie się przeplatały – artystycznie, edukacyjnie, życiowo. To też ciekawe trajektorie biograficzne. Tola zmarła w 1918, a Olga w 1940 – Tola (wtedy już kanoniczka, ale nie zakonnica i cały czas wybitna rzeźbiarka) spoczęła na Starych Powązkach w grobowcu kanoniczek, a Olga, Paryżanka, została pochowana na cmentarzu w Montmorency.

Pozostawiły niebawala dorobek artystyczny, a także – za sobą – niełatwą ścieżkę życia. Kobiecą, ale w dojmującym męskim świecie tamtego czasu i miejsca. Przeszkód. Ale sobie poradziły. Mimo wszystko i poza wszystkim, to też *Krakowianki*. Wybitne. Niezwykłe. Choć, jak akcentuje autorka, bez *siostrzanej* relacji.

Kończy część *Artystki*, postać nie mniej wybitna i równie głośna – żywy posąg, Helena Modrzejewska. Już na sam dźwięk nazwiska wielu z pewnością drży serce. A środowisku teatralnemu, szeroko rozumianemu, szczególnie. Biograficzną trajektorię życiową otwiera sekwencja Modrzejewskiej: *Dopóki żyje jedna polska kobieta, Polska nie zaginie*. Imię Modrzejewskiej „żyje” w codzienności i święteczności, przypominając. Jej imienia nazwano teatr, ulice, instytucje. Modrzejewska, tym samym, pozostaje wśród nas. Również jako *Krakowianka*. I działaczka, aktywna na wielu, wielu innych polach. Zdecydowanie kobieta sukcesu. Także urody, talentu, determinacji. Zarazem roztropności i odwagi.

Potwierdza to teza badaczki (prof. Alicji Kędziory) i chyba mówi wszystko o Modrzejewskiej:

Myślę, że to kwestia determinacji. Zdecydowanie Modrzejewska wpłynęła na to, że miała takie powodzenie [...]. A poza tym czar osobisty, urok. Ona roztaczała wokół siebie taką aurę, że wszyscy byli zauroczeni. Poza tym dobrze wyszła za mąż.

Cóż za atuty. Dodałbym jeszcze niebawalą pracowitość. Dlatego trudno tu już cokolwiek dodać, poza przeglądem tego, co najważniejsze w dorobku.

Autorka *Krakowianek* świetnie go dokumentuje, począwszy od daty urodzenia Heleny: Kraków, 12 października 1840. Atutem rodzina (choć nie bez potknięć – ojcostwo Heleny) i jej pochodna – nauka pracowitości, a także niemały, krakowski majątek (dwie kamienice, kawiarnia – róg Grodzkiej i placu Wszystkich Świętych, itp.). Od dwudziestego pierwszego roku życia – aktorka (choć w tle nieślubny syn Rudolf-Dolcio, później córka Maria – zmarła w wieku trzech lat, prowincjonalny teatrzyk w Bochni, także podobne). W tamtym czasie to zdecydowanie nie atuty.

Gdy jednak wnikliwie przeanalizować kalendarium Modrzejewskiej od tej cezury, dostrzegamy, pomimo niełatwego czasu, sporo, naprawdę sporo, atutów. Poczynając od pseudonimu artystycznego „Modrzejewska”, poprzez ciężką „aktorską dolę”, w tym powszechność złej oceny – *aktorka, oczywista*, a kończąc na niekwestionowanej wielkości i pozycji. Uznawanej, docenianej. Rzetelnie zapracowanej. Atutem też wspomniane małżeństwo – Karol Bodzenta Chłapowski z ziemiańskiego rodu, utytułowanego i z herbem, powstaniec styczniowy i dziennikarz. Zobaczył Helenę na scenie w Poznaniu w 1866 roku i stracił głowę. 12 września 1868 wzięli ślub w krakowskim kościele Świętej Anny.

Dla Karola był to, bez wątpienia, mezalians – dowód: *Nie był na nim [ślubie] obecny nikt z rodziny Karola*. Cezura znamienna.

Autorka celnie akcentuje te życiowe, także rodzinne, cezury biograficznej trajektorii Heleny Modrzejewskiej. To bilans zapisany niebywałą ilością źródeł, relacji, wspomnień, wypowiedzi itp. Także geografie pobytu. W tym Stany Zjednoczone – *hrabina Bozenta* i skrót nazwiska *na potrzeby rynku amerykańskiego: Modjeska*. To świadome kształtowanie nie tylko wizerunku, ale i tego, co zazwyczaj nazywamy osobowością. W tym język, świetnie opanowany, *choć nieco z akcentem*. Wielka kariera, wielki dorobek. Atuty świetnie spożytkowane: żony, matki, aktorki [i] *Polki-katolicki*. Wszystko świetnie skomponowane w czasie, miejscu, okolicznościach. Plus niebywała pracowitość. *Kobieta światowa* – bez wątpienia to trafne autorskie podsumowanie dorobku Heleny Modrzejewskiej. Dodałbym – *kobieta wyzwolona* – *publicznie paliła papierosy!* Rzeczywista paleta światowości. Do dziś obecna. Nieprzemijająca. I *Krakowianka*, trochę „chuliganka”, przede wszystkim jednak wyzwolona, ale i solidarna – wspierająca dobroczynnością wielu w niełatwym czasie zaborów. Światowa – to najlepiej oddaje istotę zjawiska pt. Helena Modrzejewska. Choć, emigrantka – z wyboru.

Helena Modrzejewska zmarła 8 kwietnia 1909 roku, została pochowana na krakowskim cmentarzu Rakowickim:

Rada Miasta Krakowa nie zdecydowała się na bezpłatne przekazanie działki cmentarnej, a więc Karol musiał za nią zapłacić sam. Został pochowany u jej boku pięć lat później.

Kraków pamięta o „swej” Helenie, *Krakowiance*, pamięta pamięcią trwałą i niezmienną.

Ostatni akapit *Krakowianek* to *Silaczki*. Jako pierwszą autorka pokazuje nam Jadwigę Jędrzejowską. Znamcom sportu, a szczególnie tenisa, to nazwisko, postać mówią wszystko: *Królowa fair play*, najwybitniejsza tenisistka z *Polski XX wieku*. Finalistka trzech turniejów wielkoszlemowych. *Urodziła się na korcie i na korcie pozostała przez całe swoje długie tenisowe życie*.

Tenis długo pozostawał sportem elitarnym i sportem elity. Rakiety, specjalnie przygotowywany kort przedzielony siatką (zazwyczaj ceglana mączka i wyjątek – trawiasty: angielski Wimbledon). Dziwnie – dla niektórych – rozrysowane linie + specyficzny sposób zapisu wyniku: gem, set i wielkości: 0:15, 15:30 itp. Stąd niemałe trudności Jędrzejowskiej, by znaleźć się w światowej elicie.

Oczywista, to był inny czas i inny świat tenisa niż dzisiejszy, np. Igi Świątek. Jednak tenis to tenis – elegancja, sztuka nie tylko forhendu i backhendu, gema, asa serwisowego itd. ale i rodzaj spojrzenia, estetyki. Klasy. Dziewczyna z krakowskiej Krowodrzy, która – jak zapisała w tytule wspomnień – *urodziła się na korcie*, a raczej w pobliżu kortu AZS... musiała zostać tenisistką. W 1912 na kortach w parku Krakowskim (własność Akademickiego Związku Sportowego) odbył się, jak donosiła prasa *pierwszy w historii międzynarodowy turniej tenisa rozegrany na ziemiach polskich*. Grały też kobiety! Niezwykłość, bo zachowała się fotografia/ dokument: jak głosi podpis: *pięć kobiet w długich sukniach, trzymających rakiety tenisowe*. Bez wątpienia *Krakowianki* i tenis, to było, musiało być, intrygujące krakowsko-krakowskie zjawisko. Sportowe, ale i towarzyskie. Zatem Jadwiga, urodzona 15 października 1912 roku, „sąsiadka” kortów, rzeczywiście musiała zostać tenisistką. A że *Krakowianka*..., to już, jak mawiają w grodzie Kraka, *samo przez się, się rozumiało*.

W tle biografii Jędrzejowskiej siostry Nowakówny. Pływaczka (Krystyna, mistrzyni Polski) i tenisistka + szermierka (Wanda, po mężu Dubieńska, pierwsza polska olimpijka). Niezbyt miło wspomniane. Zazdrosne. Ach te krakowskie koneksje, czyli „prawdziwie prawdziwy” Krakówek. Krystyna i Wanda, to córki prof. Juliana Nowaka, profesora i rektora UJ, także premiera RP. Przyjaciela Stanisława Wyspiańskiego. A to w Krakowie/Krakówku ważne. Ważne do dzisiaj. Zatem sport, kobiety-sportsmenki, elita krakowska. Pływanie i tenis. Szermierka – wszystko elitarnie (sprzęt). Tenis i jeszcze raz tenis. To nie piłka nożna *w bloku* (Wisła, Cracovia) czy, nie daj Boże, boks itp. Sprzężenie wręcz zwrotne.

Małej Jadzi daleko do profesorskiej czy arystokratycznej rodziny krakowskiej – rodzice to „awansowi” ze wsi: podkarpackiej i podkrakowskiej – tzw. gospodyni domowa i etatowy magistracki *do sprzątnania ulic*. Ale już krakowscy, jak i ich trzecie dziecko – Jadzia, *Krakowianka*.

Początki Jadzi na korcie? Autorka: rodzinie Jędrzejowskich się nie przelewa (czas wojny i tużpowojenny), ośmioletnia Jadzia chce pomóc: *mamo pozwól mi pójść na kort – tam dzieci zbierają piłki, a ci panowie elegancko ubrani na biało dają im za to pieniądze*. Znamienna cezura – Jadzia trafia na kort! I zarabia pierwsze grosiki. Spogląda na grających w wolnej chwili – *przygląda się grze*, jak to odnotowuje we wspomnieniach.

Cezura druga – w wolnej chwili, niespodziewanie, *Jadzia z rakieta*, udostępnioną przez odpoczywających. I *brawo Jadzia*, odpoczywający po secie panowie

klaszcza. Z czasem Jadzia *radzi sobie coraz lepiej*. Z pewnością, *ubrani na biało panowie* – pomagają, podpowiadają. Jadzia chłonie wszystko, stara się. Prezent: ojciec dla Jadzi, własnoręcznie zrobił raketę. Zaraz potem szkoła. Szkoła i rakiet/tenis.

Dopiero jako jedenastolatka dostanie *od jednego z panów* prawdziwą raketę. Też cezura znamienna – Jadzia tenisistką? Rywalką starszych? Dubieńskiej? Niebywałe. Wszak w 1924 Wanda Dubieńska, szykująca się do olimpiady ma 29 lat. Jadzia 12 lat, ale *niezwykłą energię, zapowiada się dobrze*. To nie może cieszyć olimpijki. Ale potencjał Jadzi dostrzega AZS – Jadzia zostaje członkinią związku. Ważna, kolejna cezura – nie jest przecież studentką, a zaledwie uczennicą Szkoły Ekonomiczno-Handlowej Żeńskiej w Krakowie. Ma zatem klub, trenerów-opiekunów i... trochę spokojniejszą głowę (sprzęt). Startuje już jako zawodniczka. Często – zrozumiałe – przegrywa ze starszymi, ale walczy. Pokazuje charakter. Pierwsze zwycięstwa, choć jeszcze nie mistrzowskie. I kolizja szkolna, *bo treningi, zawody*. Także dylemat – uczeń nie może być członkiem klubu, Ministerstwo zezwala. Jadzia już coraz lepszą zawodniczką. A w 1931 zdała w Krakowie *ekonomiczną maturę*. Sport więc nie stanowi dla Jadzi przeszkody w edukacji. Rozumie, że jedno i drugie pozostają ważne. Jest odpowiedzialna. To również otwarcie na wielki sport.

Jak, zasadnie, akcentuje autorka: *od tego momentu kariera Jadzi rozwija się błyskawicznie*. Znamy to kalendarium, wielokroć analizowane i opisywane – naukowo, wspomnieniowo, społecznie. Finał: *Jadzia zaczyna podbijać tenisowy świat*. Podróże, nowi ludzie, środowiska, znajomości. I zwycięstwa. Z wolna, to już gwiazda tenisa kobiecego. Wymiar światowy. Polka, *Krakowianka*. A obok i wokół, plejada nazwisk światowego formatu, sportowych, filmu, ale nie tylko – w tym Gustaw V król Szwecji. Niebywałe. Ważna cezura kolejna.

Wrzesień 1939, jak niemal wszystkim w kraju, zmienia wszystko. Wicemistrzyni Wimbledonu również. Praca w podłej restauracji „Pod Kogutkiem”, gdzie mistrzyni *daje twarz* obok innych, znanych sportowców. W tym, rozstrzelanego Janusza Kusocińskiego. Na kortach Legii „Nur für Deutsche” – klasyka okupacyjnego czasu. Potem, dorywczo, inne zajęcia. Powstanie. Tenis w tym czasie bez znaczenia. I „nowe”, powojenne: Żyrardów, Bydgoszcz, trudny powrót do tenisa (autorka, za Kazimierzem Gryżewskim: *Gdy w 1945 roku Jadwiga po raz pierwszy stanęła na korcie, nie trafiła w piłkę* – wojenno-powojenny syndrom wielu, nie tylko sportowców). Kolejne porażki na korcie – Wimbledon, Paryż. Ale i udział (1948) we wrocławskim Światowym Kongresie Intelktualistów. Małżeństwo (1948) z Alfredem Gallertem (katoliczka i protestant). Śląsk, z tenisem w tle – już małżeństwa, Jadwiga – zawodniczka, mąż tenisowym sędzią. Ostatki tenisowe *urodzonej na korcie* to rok 1968 – trochę nauczycielka tenisa. Śmierć męża (1975) wszystko w tenisowym małżeństwie zrywa. Wkradło się też zapomnienie *o Jadzi*, choć nigdy nie rozstawiała się z tenisem, *w każdej postaci*.

Jadwiga Jędrzejowska zmarła 28 lutego 1980 roku w Katowicach, pochowana na krakowskim cmentarzu Rakowickim. Wszak to zawsze była *Krakowianka, królowa fair play*. Nie tylko interesujący się tenisem pamiętają. I nie tylko w Krakowie.

Kolejna z *Silaczek* to Franciszka Budziaszek-Resich – autorski, ciekawy tytuł eseju: *O włos. Taka najzwyczajniejsza historia świata*. Ale to pozorność – w tle opowieść o codziennym bohaterstwie pozbawionym zainteresowania opinii publicznej czy blasku fleszy. Franciszka bowiem to uwielbiana krakowska fryzjerka, która musiała zapłacić najwyższą cenę. *Krakowianka*. A w tle już niezwykłość, pomoc Żydówkom w grozie Zagłady. I utrata życia.

Początek tej *krakowskiej* opowieści to pobliskie Więclawice – dwa kroki od Krakowa, tuż za Michałowicami (droga w stronę Warszawy). Ważnym miejscem – *kościółek w Więclawicach Starych*. Parafia pod wezwaniem Świętego Jakuba. W pobliżu Węgrzce, gdzie pod koniec życia osiedlił się Stanisław Wyspiański. To już zabór rosyjski, pamiętajmy: wieś Boleń – granica zaboru rosyjsko-austriacko-pruskiego. Zatem Więclawice to zabór rosyjski, w nieodległych Michałowicach komora celna w stronę Krakowa, a także *historyczne targowisko i karczmy*. Tym samym parafia Więclawice, ważna w tej opowieści, to również zabór rosyjski (cyrylica). To tutaj 22 lutego 1887 roku kalendarza juliańskiego (6 marca w kalendarzu gregoriańskim) została ochrzczona (urodzona dzień wcześniej) Franciszka Budziaszek. Córka Katarzyny z d. Sieńków i Jana Budziaszka – szewca. Szczęśliwa rodzina.

Dorastająca Franciszka, jak głosi rodzinna opowieść, w 1908 *pojechała szukać lepszego życia w Krakowie*. Typowość zjawiska tamtego czasu – „ze wsi do miasta” – stały proces. A rozwijający się Kraków, chłonał. Zatem, odważna – Kraków przecież znajdował się, tak, tak, w innym już kraju! Nie w Rosji, a w Austrii. Kierunek – służba w Krakowie, *pomoc fryzjerska*. Ulica Mikołajska – zapewne lokal głośnego krakowskiego zakładu fryzjerskiego Adolfa Lattnera.

Fryzjer to wtedy raczej zawód „męski”, znowu więc ta odwaga: fryzjerka Franciszka, już zamężna – Resich, żona Jana. A tuż po ślubie, niemal zaraz, Wielka Wojna, *Festung Krakau*, wysiedlenia ludności. Franciszka (już z dwójką dzieci) wyjechała do Wiednia. Znow ta odwaga, ale z pewnością i racjonalna zaradność. Po wojnie, ponownie Kraków, już w Polsce. I nowe szanse aktywności – zakład fryzjerski i gabinet kosmetyczny – nowoczesne myślenie (*Zakład kosmetyczny Franciszki Budziaszek. Grodzka 3, I piętro zaprasza* – z ogłoszenia w „Czasie”).

Międzywojnie Franciszki to pasmo sukcesów – zawodowych (najlepszy, modny zakład fryzjerski i kosmetyczny w Krakowie, nadal Grodzka 3), wykształcone dzieci – córka Halina, dobrze zapowiadająca się śpiewaczka (zmarła młodo), syn Zbigniew – prawnik (po wojnie profesor i pierwszy prezes Sądu Najwyższego, poseł). Z pewnością *duma córki szewca*. Reputacja salonu Franciszki to najlepsi klienci, rezerwacja wizyt (tel. 186 46). Niemale dochody, bryczka. Bywała w salo-

nie Mieczysława Ćwiklińska, bywały arystokratki itp. Modne nowoczesne fryzury, w tym „na chłopaka”, nowoczesne kosmetyki. Sporo anonsów w krakowskiej prasie. Zdjęcia reklamujące zakład. Spore grono znakomitych pracowników. Naprawdę sukces *córki szewca* spod krakowskich Więclawic.

Dramatyczna cezura przerwała ten dobry czas, jak zresztą niemal wszystkim – wojna, zajęcie Krakowa, okupacja, Kraków „stolicą” *Generalgouvernement*, Hans Frank. Kłopoty zaopatrzeniowe, „czarny rynek”. Obowiązujące cenniki.

Ale, jak mawiali fryzjerzy tamtego czasu (moja relacja rodzinna): *wojna nie wojna, okupacja, ale włosy i broda zawsze rosną*. Czasem, mimo dramatu, trzeba było „na szybko” trwać, a już farbowanie włosów stało się przypadłością życiową szczególną. Niekoniecznie w zgodzie z trendami mody. Choć okupacja miała też wpływ na odzienie, a tym samym i – jakoś tam – modę. Moda okupacyjna stała się niekiedy formą oporu społecznego. A to oznaczało możliwość kontaktów konspiracyjnych. Zakład Franciszki został wciągnięty w społeczny nurt konspiracyjny. Kraków był przecież, pomimo niemieckiej „stołeczności”, drugim po Warszawie ośrodkiem konspiracji w *Generalgouvernement*. I choć paleta postaw „krakowskich” była zróżnicowana, to przestrzeń konspiracyjna funkcjonowała. Mimo aresztowań, donosów, zła i śmierci.

Przechowywano na Grodzkiej 3 materiały konspiracyjne, drukowane ulotki, a w małych użytecznych w trwałej ondulacji wałeczkach (fryzura) można było przechowywać niewielkie „sprawki”, które nie mogły trafić do okupanta. Atutem było też świetne położenie Zakładu – ulica Grodzka, поближе Wawelu, ale i Rynku, ważna oś miejska. Także dla konspiracji. Ważną rolę łącznika z dobrą znajomością niemieckiego odegrał tu syn Franciszki, Zbigniew, już prawnik po UJ.

Szczególnym wyróżnikiem „konspirowania” Franciszki i jej Zakładu była pomoc Żydom. Krakowski, początkowo Kazimierz, potem getto w Podgórzu, *KL Plasow*, to cezury znamienne w dziejach krakowskich Żydów. Zjawisko społecznie dostrzegane w codzienności. Stąd pomoc, wsparcie, Rada Pomocy Żydom, także „Patronat” – Sekcja Opiekuńcza nad Więźniami i ich Rodzinami itd. Zakład stawał się często ważnym „przystankiem” zmiany wyglądu, szczególnie Żydówki (spora umiejętność Franciszki). Także wsparcia dla ofiar, potrzebujących. Jak i łącznikiem z konspiracyjnymi organizacjami.

Aresztowanie Franciszki, więzienie Montelupich było już tylko następstwem. Po śledztwie zesłanie do *KL Ravenstbrück* (koniec 1944). W obozie Franciszkę pozbawiono włosów, szybko też została zgładzona. Została pamięć, trochę dokumentów.

Zakład Franciszki Grodzka 3, funkcjonował do wczesnych lat 90. XX wieku. Prowadziły go inne już osoby i nie należał do rodziny. Pozostało stare przedwojenne wyposażenie, z czasem trafiło do Oddziału Muzeum Krakowa – Lipowa 4. To ciągłość pamięci o niezwykłej *córcie szewca*, znanej w Krakowie, przedsiębiorczej

fryzjerce i kosmetyczce, bohaterce pomocy w trudnym czasie okupacji. Bohaterka nie ma grobu, zatem pamięć i taki „zapis” *Krakowianki* wiele znaczą.

Ostatnią trajektorią biograficzną *Krakowianek* jest szkic *Kapitanka ostatnia opuszcza pokład* – Anna Regina Feuerstein. To dyrektorka sierocińca w krakowskim getcie. Z autorską tezą/pytaniem: *czy w obliczu śmierci takie zachowanie [wykonywanie obowiązków] nie jest bohaterstwem? Casus* Janusza Korczaka czy św. Maksymiliana Kolbe. Albowiem Anna Regina Feuerstein poświęciła własne życie, żeby podopieczni nie odchodzili samotni, opuszczeni. To pola główne tej biograficznej analizy: Kraków – krakowskie getto – Zagłada. *Krakowianka*.

W tle głównym Dom Sierot Żydowskich. Jego fundatorem było Stowarzyszenie Kobiet dla Ochrony Sierot Izraelickich w Krakowie (zmienne adresy: plac Bawół, ulica Estery, a od 1872 – obszerna siedziba przy Dietla 64, pozostał tam do roku 1941, tj. do likwidacji przez Niemców). Działkę budowlaną przekazała Rada Miasta Krakowa. Od jesieni 1918 – już w wolnym Krakowie – prezeską Domu Sierot Żydowskich została Róża Rock, niestety przedwcześnie zmarła (1926). Po jej śmierci Dom Sierot Żydowskich przy Dietla 64 został nazwany jej imieniem. Dom był również siedzibą Stowarzyszenia Byłych Wychowanków Zakładu Wychowawczego Sierot Żydowskich im. Róży Rockowej. A jego kuratorem został mąż Róży, Łazarz Rock.

Po Róży obowiązki dyrektorskie przejęła Anna Feuerstein. Anna (z domu Weismann), rodem z Kołomyi, stała się *Krakowianką* po ślubie z Julianem (Juliuszem) Leopoldem Feuersteinem (z okolic Grójca na Mazowszu) – studentem farmacji, z czasem jednak pedagogiem. Więcej, pracownikiem Sierocińca przy Dietla, podwładnym żony. Oboje, wraz z personelem, stworzyli tu (okres międzywojenny) wręcz zjawisko (ok. 200 sierot), znacznie więcej niż tylko dom sierot. Może i dlatego, że małżonkowie nie posiadali dzieci własnych. Dom Sierot przy Dietla to, bez wątpienia, była instytucja, atut krakowskiego środowiska żydowskiego.

Przerwał ten dobry czas dla sierot wybuch II wojny światowej. Niemcy w Krakowie pojawili się już 6 września 1939. Dramat wojny/okupacji zmieniał wszystko. Narzucał zupełnie nieznane metody, bandyckie działania w relacji okupant – okupowani. I skrajność w postawach: życie – śmierć. A Żydzi od pierwszego dnia okupacji stali się w szczególności niszczoną, prześladowaną grupą społeczną. Wypędzeni ze swej historycznej siedziby (Kazimierz), zostali stłoczeni w Podgórzu – getcie. Proces „gettoizacji” to początek niszczenia i zniszczenia (Zagłady). Getto to również zmiana adresu Domu Sierot – na Krakusa 8. Narastająca brutalizacja w getcie. Mimo dramatu starano się stworzyć dzieciom w miarę normalność. W tym i religijną. Trochę spokoju i „oddechu” dawały pobliskie Krzemionki – *skrawek zieleni na terenie getta*. Sierociniec przetrwał do czerwca 1942. Zniszczenie przyniósł czas postępującej Zagłady (*Endlösung*). W tym radykalne zmniejszenie getta – nieco

ponad 150 sierot słoczono przy Józefińskiej 31 (d. magazyn meblowy). Narastał dramat – głód, strach, choroby, śmierci.

Wysiedlenie – zapamiętane przez ocalałych:

*Był 28 października 1942 roku, piękny, słoneczny poranek. Nad pogrążonym w prze-
rażeniu gettem wisiało bezchmurne, pogodne niebo, kiedy na ulicę Józefińską wjechały
platony. [...] droga, w którą się wybierali, prowadziła donikąd.*

Dyrekcja i opiekunowie sierocińca:

Żydowska milicja chciała zwolnić dyrektorkę A. Feuerstein z mężem, ale ona odmówiła, mówiąc, że z dziećmi była razem dwadzieścia lat i w takiej chwili z nimi się nie rozstanie.

*Wśród opiekunów, którzy razem z nią na placu Zgody dołączyli do dzieci, byli Dawid
Alter Kurzmann i Blaumówna, lekarka zakładu. Za Dawidem Kurzmannem kroczyła jego
córka Hela z mężem, Dawidem Schmelkesem.*

W godzinach południowych transport żydowskich sierot z krakowskiego getta ruszył – kierunek: stacja kolejowa Kraków Płaszów, stamtąd: obóz zagłady Bełżec.

*Dzień po wysiedleniu dzieci Zakład Sierot przedstawiał widok mrozący krew
w żyłach* – tak to zapamiętano. Dodając:

*Gdzieś leżały pojedyncze pończoszki, buciczki i różne części garderoby dzieci,
które w chaosie zostały zabrane, a dom do tak niedawna pełen ruchu i życia, stał opusto-
szony i cichy, przejmujący grozą.*

Jedna z dziecięcych opiekunek dzieci popełniła samobójstwo, zdarzyły się też samobójstwa rodziców.

Pozostały ślady „gettowe” w Krakowie, po części i pamięć, tablice przypominające. Ale czy wiemy już wszystko, czy rozumiemy te postawy właściwie? Czy o nich uczymy? Pytania otwarte, zresztą nie tylko dotyczące getta, ale i naszych, choć nie tylko, *Krakowianek*?

*

Lektura *Krakowianek* to często tropy dopiero rozpoznawane. Jedne bardziej znane, inne zdecydowanie mniej. Te dwa tomy, autorstwa Alicji Ziolo, to znamie szczególności. I nadal wyzwanie. Zakładam, że to początek, w tym również solidnych przyczynków do herstorii – czasu i miejsca, biograficznej trajektorii. Także edukacji.

Świetne eseje, solidnie „umocowane” w podstawie źródłowej i literaturze przedmiotu. Warsztatowo dobrze przygotowana autorka. Narracja w formie esejów to bardzo trafne rozwiązanie. Teksty dobrze się czyta, zdecydowanie budzą zain-

interesowanie. Powinny stanowić „otwarcie” w stronę kolejnych. Jako że *Krakowianek* zasługujących jest znacznie, znacznie więcej niż te pomieszczone w tym opracowaniu.

Na jeszcze jeden atut *Krakowianek* chciałbym zwrócić uwagę, bardziej już jako badacz krakowskich dziejów, a szczególnie *social history* Krakowa. Te dwa tomy to również niezwykle interesujący opis/analiza dziejów Krakowa. Sporo ciekawych „krakowskich” przyczynków. I to na przestrzeni niezwykle czasu – tak tego mitycznego (Wanda, Nawojka), czasu miasta królów (Wawel, droga królewska), czasu metropolii (arcybiskupstwo), czasu wreszcie Uniwersytetu, owej *nauk przemożnych perły*. W istocie krakowski Uniwersytet to swego rodzaju Matka wszystkich kolejnych. To fundament istoty *Universitas*. W tych „przyczynkach” również Kraków gwałtownego wzrostu. Z miasteczka zapyziałego (choć z Wawelem, metropolią, uniwersytetem), ale jednak zapyziałego, w stronę miasta już czasu autonomii, miasta sześciu kolejnych wybitnych prezydentów. Miasta czasu przyłączenia Podgórza, *Festung Krakau*. Autorka, analizując biograficzne trajektorie, sytuje je rzetelnie w czasie i miejscu także i historii najnowszej – w Jamie Michalikowej i w Teatrze Miejskim (dziś Słowackiego), w „stolicy” *Generalgouvernement*, a także w Nowej Hucie, innej nieco perle niż Uniwersytet – perle *socrealizmu*.

To organiczne połączenie biografii *Krakowianek* i Krakowa (coraz bardziej rozrastającego się – metropolii?), to wielki atut tych dwu tomów. Nie ma bowiem *Krakowianek* bez Krakowa ich czasu i nie ma Krakowa (Krakówka też) bez *Krakowianek*. Tym bardziej że stale dorastają i rodzą się krakowianki kolejne. Nie mniej wielkie niż te opisane w dwu tomach. I też się chyba domagają obecności w tomach kolejnych.

Krakowianki to może też być swego rodzaju wzornik dla innych: miast, badaczy – herstoria, to nie tylko specjalizacja socjohistoryczna, ale i oferta, jak sądzę. Można czerpać z *Krakowianek*, można też obmyślać i realizować własne serie – np. obok biograficznych czy pamiątnikarsko-wspomnieniowych.

Krakowianki to nie tylko świetna, dobrze opracowana lektura. Nie tylko dla krakowian. Ale to również edukacja, dość uniwersalna. A może i wzornik, inspiracja dla innych?